

Z nad Pacyfiku w wysokie Andy

Z Arici, dużego miasta portowego, położonego na północy Chile w pobliżu granicy z Peru i Boliwią zamierzamy dojechać do stolicy Boliwii La Paz.

Są dwie możliwości: luksusowa chilijska linia autobusowa wiedzie przez Calamę na pustyni Atacama (stamtąd przyjechalśmy) oraz połączenie kolejowe funkcjonujące jeden raz w tygodniu. Zamierzaliśmy dotrzeć do La Paz najkrótszą, jak wynika z mapy, drogą przez prowincję Parinacota, obok malowniczego jeziora Chungara. Trasa ta jest obsługiwana przez Boliwijczyków. Przejazd jest non stop, bez możliwości zatrzymania się nad jeziorem. Z tego powodu odrzucamy także ten wariant.

Brak połączeń lokalnych na tym obszarze powoduje, że decydujemy się na skorzystanie z usług biura podróży, które w swojej ofercie posiada wycieczki nad jezioro Chungara. Po intensywnych pertraktacjach udaje się nam wykupić jedynie przejazd w jedną stronę bez dodatkowych świadczeń.

Liczymy, że po kilkugodzinnym pobycie nad jeziorem uda nam się wsiąść do autobusu boliwijskiego, który tamtędy przejeżdża. Uspokojeni podjęciem decyzji ruszamy na spacer po Arice. Jest ona znana głównie z kościoła San Marcos de Arica zaprojektowanego w 1875 roku przez Aleksandra Gustawa Eiffla.

Podziwiamy wspaniałe szerokie, piaszczyste plaże, kóre robią na nas dużo większe wrażenie niż osławione Viña del Mar. Jest bardzo ciepło, ludzie zażywają kąpeli słonecznych i oceanicznych, nas odstrasza niska temperatura wody. Zimny prąd Peruwiański na tyle ochładza wodę, że na 18° szerokości geograficznej południowej jej temperatura wynosi poniżej 20°C, podobnie jak u nas w Bałtyku. Zbieramy wspaniałe muszle, skorupy jeżowców. Szokuje nas olbrzymi kontrast – Pacyfik graniczy bezpośrednio z pustynią. Tuż za szerokimi plażami rosną palmy pielęgnowane i pieczołowicie utrzymywane przez człowieka, a kilkadziesiąt metrów w głąb lądu rozciąga się kamienisto-piaszczysta pustynia pozbawiona całkowicie roślinności.

Chile przyzwyczało nas do luksusu, do takiej organizacji wszelkiej działalności, aby maksymalnie usprawnić, uprzyjemnić życie człowiekowi. Doświadczamy tego ponownie przy porannym wyjeździe z hotelu. Gospodarze szykują nam prowiant na drogę. Mikrobus wycieczkowy o ustalonej godzinie pojawia się przed naszym hotelem, a młody sympatyczny pilot Oscar zaprasza do środka. Towarzystwo biorące udział w wycieczce jest wielonarodowe: Chilijczycy, Niemcy, Francuzi, Żydzi, Katalończyk. Pilot proponuje każdemu uczestnikowi przedstawienie się przez mikrofon, dzięki temu atmosfera rozluźnia się.

Jak wszędzie w Chile, asfaltowa dobrze utrzymana droga, pozwala na szybką i bezpieczną jazdę. My mamy do przejechania tylko ok. 200 km, ale za to do pokonania znaczną różnicę wysokości – z poziomem oceanu wjeżdżamy na wysokość aż 4500 m n.p.m. W trakcie 6-godzinnej jazdy zaplanowano kilka postojów. Pierwszy w niewielkiej wiosce Poconchile oddalonej zaledwie 37 km od Arici, a leżącej na wysokości 480 m n.p.m. Cały czas jesteśmy jeszcze w obszarze pustynnym, jedynie na horyzoncie w dolinie rzecznej widoczna jest zieleni pól uprawnych. Zwiedzamy malutki, bielony kościół i cmentarz – pozbawiony roślinności jak pustynia wokół.

Mały 20-osobowy mercedes szybko osiąga coraz wyżej położone kaktusy-kandelabry, z bardzo długimi, cienkimi kłocami. Osiągają one wysokość do 2,5 m. Według słów Oskara jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie rośnie ten gatunek kaktusów. Wielkim dla nas zaskoczeniem staje się fakt, że im bardziej oddalamy się od oceanu i wjeżdżamy coraz wyżej, tym więcej wilgoci w powietrzu, a co za tym idzie roślinność staje się coraz bogatsza. Zaczynają się nam ukazywać ośnieżone szczyty Andów. Jesteśmy już na terenie jednego z licznych w Chile parków narodowych – Parku Narodowego Lauca, którego nazwa pochodzi od głównej rzeki tego regionu.

Podziwiamy pierwsze, duże wysokogórskie jezioro Cotacontani. Mijamy olbrzymie, posępnie wyglądające pola zastygłej lawy o barwie ciemnoszarej, czarnej – są to obszary pozbawione roślinności.

Wreszcie osiągamy wysokość 4500 m n.p.m. jesteśmy u celu naszej eskapady – nad jednym z najwyższych na świecie położonych

jezior – Chungara.

Brzegi jeziora od strony północnej i wschodniej otoczone są wysokimi wierzchołkami wulkanów: Pomerape – 6240 m n.p.m., Quisquisini – 5480 m n.p.m. i najwyższym Parinacota – 6330 m n.p.m. – wszystkie położone są na granicy Chile i Boliwii. Szczyty są ośnieżone i wspaniałe odbijają się w wodach jeziora.

Południowe i zachodnie brzegi są trudno dostępne, zabagnione i pozbawione roślinności ale już kilkanaście metrów od linii brzegowej rozciągają się łąki śródgórskie, na których pasą się stada wikunii. Na głazach wystających z jeziora siedzą duże ptaki, przypominające sępy. Najwspanialszym jednak dla nas widokiem jest wzlatujące stado pięknych różowych flamingów.

Nad jeziorem żegnamy się z naszymi dotychczasowymi towarzyszami podróży – wycieczkowiczami i pilotem Oskarem. Oni szybko zjeżdżają w dół – prawie wszyscy zaczynają mieć pierwsze objawy choroby wysokogórskiej.

Natomiast nasza grupka dziarsko lokuje się w malutkim, kamiennym schronisku, będącym własnością Parku Narodowego. Są tu już Belgowie, Finowie, Francuzi, Kanadyjczyk. Do dyspozycji dostajemy niewielki pokój z łóżkiem piętrowym. Wszyscy zbierają się w jednym dużym pomieszczeniu będącym jednocześnie kuchnią, jadalnią, świetlicą. Dla tych, którzy wrócili z górskich wędrówek gospodarz schroniska (Strażnik Przyrody) przygotowuje wcześniej zamówiony posiłek. Menu ściśle określone: zupa jarzynowa plus makaron z dużą ilością czosnku, który obniżając ciśnienie doskonale wpływa na organizm w warunkach dużych wysokości.

My raczymy się naszą wspaniałą kielbasą i domowym smalcem, apetyt dopisuje. Pozostali turyści patrzają na nasze apetyty z podziwem. Nie zdajemy sobie sprawy, że podziwiają naszą głupotę – skutki obżarstwa na tej wysokości przy braku aklimatyzacji zaczniemy odczuwać już po kilku godzinach.

Po posiłku idziemy na kolejny spacer, pogoda ulega zmianie – gwałtownie robi się zimno, zaczyna padać deszcz ze śniegiem, wierzchołki wulkanów giną w chmurach. Na szczęście wieczorem rozpogadza się i możemy podziwiać bejcznie kolorowy zachód słońca. Przed snem rozgrzewamy się aromatyczną herbatą zaparzoną z górskich ziół. Już prawie wszyscy odczuwamy skutki choroby wysokogórskiej: bóle głowy, mdłości, kołatanie serca, brak tchu. O spaniu nie ma mowy, jak na zbawienie czekamy na rano. Około 5 rano ma przejeżdżać drogą boliwijski autobus jadący do La Paz. Ponieważ i tak nie możemy spać, wychodzimy na drogę przed schroniskiem w piękną rozgwieżdżoną noc. Przeżywamy nerwowe chwile – jest bardzo zimno, wieje silny wiatr, i ten brak pewności czy autobus przyjedzie, a jeśli tak, to czy nas zabierze... Wreszcie na choryzoncie pojawiają się reflektory pojazdu, w środku jest 7 wolnych miejsc (jakby przygotowanych dla naszej grupy). Jesteśmy szczęśliwi.

Zdążyliśmy się już przyzwyczać do komfortowych autobusów chilijskich i dobrych dróg, od tej chwili czekają nas liczne niespodzianki. Autobus jest starym mercedesem ciężarowym przystosowanym do przewozu pasażerów i licznych ładunków. Jadą w nim tylko Boliwijczycy przewożący olbrzymie ilości pakunków; w Chile zaopatrzyli się w liczne dobra, których brakuje w Boliwii (poczynając od cebuli, kończąc na papierze toaletowym). Po kilku minutach jazdy osiągamy granicę, tu kończy się asfalt, a dalszego traktu nie widać. Wygląda na to, że kierowca zna kierunek jazdy i obiera właściwy azymut – jedziemy bezdrożami, zupełnie jak po poloninach bieszczadzkich.

W punkcie kontroli paszportowej po stronie boliwijskiej wdajemy się w długą dyskusję z urzędnikiem. Polska nie figuruje w spisie państw korzystających z ruchu bezwizowego z Boliwią, który w formie plakatu wisi na ścianie urzędu – plakat jest mocno sfatygowany i na pewno stary, co najmniej sprzed 2 lat. Po długich wywodach udaje się nam go przekonać, że Polacy już od roku nie muszą posiadać wiz boliwijskich.

Urzędnik daje za wygraną i możemy oficjalnie przekroczyć granicę i kontynuować jazdę naszym „super autobusem” w kierunku La Paz...

JAROSŁAW FISCHBACH

Autor jest właścicielem Biura Podróży TOURPOL w Łodzi